

LEON DURKA

HYBRYDA

LABORATORIUM

Zakład Diagnostyki Medycznej Szpitala Dzieciątka Jezus przy ulicy Lindleya w Warszawie zwolnił zajmowane pomieszczenia i przeniósł swoje badania do ośrodka na Banacha. Wówczas firma biotechnologiczna Vaccinex wykorzystała okazję. Po modernizacji pomieszczeń i stworzeniu sterylnego laboratorium, założyła w tym właśnie miejscu swój zakład badawczy. Pracujący dla korporacji naukowcy rekrutowali się z pracowników Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, którzy swoją wiedzę i doświadczenie nabywali w najlepszych placówkach badawczych Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych.

Dochodziła druga w nocy. Monotonny szum wentylatora działał usypiająco, ale Paweł był pełen energii. Z pojemnika z ciekłym azotem wyciągnął osiemnaście probówek, które natychmiast pokryły się szronem. Nic dziwnego, przechowywane były w temperaturze dochodzącej niemal do minus dwustu stopni Celsjusza. W probówkach znajdował się materiał zakażony wirusami. Była to linia komórek, pozyskana niegdyś z płodów małpy rezus, których metabolizm jest podobny do przemian biochemicznych typowych dla człowieka.

Natrętne myśli nie dawały mu spokoju. Wydarzenia ostatnich dni zaczęły układać się w obraz, który zasiał w głowie naukowca obiekcje. Omawianie wyników pracy, kilkugodzinne dyskusje bez konkretnych wniosków i na koniec podzielone opinie i wątpliwości co do kontynuacji dalszych badań i brak ostatecznej decyzji. I nagle polecenie, aby zaniechać dalszych prac nad projektem.

Wówczas otrzymał poufną informację, aby zdeponować hybrydy groźnych wirusów poza laboratorium na Lindleya. W ten sposób miał stać się jednym z wykonawców działań konspiracyjnych. Decyzja była spontaniczna, ale po pewnym czasie pojawiły się wątpliwości. Miejsce, w którym miały zostać umieszczone patogeny, nie było bezpieczne. Podejrzał podstęp. Natłok myśli stawał się nie do zniesienia.

Początkowo chciał wykonać polecenie Vaccinex i zniszczyć hybrydy wraz z dokumentacją, a badania zacząć od podstaw. Kilku innych naukowców było tego samego zdania. Ale nie wszyscy. Dwa lata wytężonej pracy nie mogą zostać wyrzucone, jak śmieci, do kosza. Wystarczyłoby tylko dokonać kilka zmian w materiale genetycznym, by osiągnąć zaplanowany cel.

Korporacja zdecydowała inaczej. Pomimo, że poniosła do tej pory znaczne koszty, ostatecznie podjęła decyzję o zaniechaniu dalszych eksperymentów. Rozpoczęcie badań od podstaw nie dawało gwarancji powodzenia. Wkrótce firma zawiesi projekt i prawdopodobnie się z niego wycofa.

Postanowił zatrzymać materiał, by zyskać czas. Na spokojnie zastanowić się, czy wykonywać kolejne doświadczenia, ale już na własną odpowiedzialność, czy wirusy zdeponować i prace przerwać. Z pewnością ich nie zniszczy. Spróbuje porozmawiać raz jeszcze z koordynatorem projektu, a potem podejmie próbę przekonania korporacji co do dalszych działań. Jest w posiadaniu mocnych argumentów.

Teraz już nic nie wymyśli. Za mało czasu. Za chwilę przyjdzie gość, któremu miał przekazać materiał. Ostatecznie odmówi jego wydania. Nie musi się

tłumaczyć. Za kilka godzin wyjaśni całą sytuację komu trzeba. Liczył, że spotka się ze zrozumieniem. Niestety, pomylił się w swoich naukowych przemysleniach...

Usłyszał syk pompy pneumatycznej, otwierającej szklane drzwi prowadzące do śluzy. Kod znany był jemu, dwójce współpracowników zatrudnionych przez Vaccinex oraz kilku naukowcom, z którymi prowadził badania.

Przybysz, po założeniu szczelnie przylegającego do ciała fartucha, maski oraz ochronnych okularów, wszedł do śluzy. Pomieszczenie wypełniło niebieskie światło. Procedura odkażająca obowiązywała wszystkich wchodzących i wychodzących z laboratorium. Po pięciu minutach, drzwi do pracowni otworzyły się automatycznie.

Pomieszczenie, w którym przeprowadzano badania, było oznaczone żółtą tabliczką z napisem ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE oraz BIOHAZARD i dobrze zabezpieczone. Oprócz śluzy, powietrze w pracowni sterylizowane było przez specjalną aparaturę. Wentylacja również była w taki sposób podłączona. Żaden wirus nie miał prawa wydostać się na zewnątrz budynku. Specjalne detektory, umieszczone w rogach obszernego pokoju, sprawowały dodatkową kontrolę. Kiedy w pomieszczeniu nie było ludzi, automatycznie włączały się lampy anihilacyjne, niszczące materiał genetyczny chorobotwórczych patogenów.

Gość był mniej więcej wzrostu i budowy ciała Pawła. Ubrani w laboratoryjne fartuchy, ochronne okulary i maski, byli nie do rozróżnienia.

– Przyszedłem po towar – mężczyzna ruchem głowy wskazał na probówki. – Włóż je do tego pojemnika –

polecił rozkazującym tonem, podając niebieski termos, który przyniósł ze sobą.

- Zmieniłem zdanie - odpowiedział naukowiec, cedząc słowa. - Materiał zostaje tutaj. Teraz jeszcze nie ma potrzeby go przenosić.

- Umowa była inna, towar będzie bezpieczny tam, gdzie go zdeponuję - odpowiedział bez wahania gość.

- Wyraz towar nie pasuje do materiału biologicznego - próbował grać na zwłokę Paweł.

- Jest prawie druga nad ranem. Nie zamierzam z tobą prowadzić dyskusji o znaczeniu wyrazów - przybysz stracił cierpliwość - powtarzam, włóż próbówki do pojemnika z ciekłym azotem i podaj mi go.

- A ja raz jeszcze powtarzam, że materiał zostanie tutaj - odpowiedział z naciskiem naukowiec.

Powietrze w laboratorium jakby nagle zgęstniało, gdy Paweł zobaczył skierowaną w siebie lufę pistoletu z tłumikiem.

- Nie mam czasu na pogawędki, pakuj próbówki do pojemnika, i to już! - warknął.

- A jeśli tego nie zrobię, to co, zastrzelisz mnie? - jeszcze próbował coś ugrać.

- Wyjdę stąd z wirusami, nawet jeśli zmusisz mnie do użycia siły. Jesteśmy naukowcami i obaj zdajemy sobie sprawę z wartości tego materiału.

- Ale ty przeszedłeś na ciemną stronę - syknął ze złością Paweł.

- Jestem naukowcem, ale okoliczności mogą mnie zmusić do naciśnięcia na spust.

- Chyba cię pojebało! - krzyknął Paweł. - Owszem, umawialiśmy się, że hybrydy zostaną przeniesione w

inne miejsce, ale to bez sensu. Tutaj są wystarczająco dobre zabezpieczenia. Przekonam o tym Vaccinex.

– Rób co mówię! – krzyknął.

– Nie strasz mnie, bo nie boję się ciebie – odpowiedział.

– Powtarzam, że wyjdę stąd z wirusami, odpuść – powiedział ostrzegawczym tonem.

– Dla kogo pracujesz? – spytał Paweł, marszcząc przy tym brwi.

– Moja cierpliwość się kończy – pokręcił głową napastnik. – Teraz spakujesz towar do pojemnika, a ja sobie grzecznie pójdę. Jeżeli tego nie zrobisz, ja to zrobię. Jeśli będzie trzeba, to cię zastrzelę.

– Kawał skurwiela z ciebie. Pójdę na policję.

– Nie improwizuj. Jesteś w tej sprawie tak samo umoczony, jak ja. Ponadto, to właśnie ja próbuję ratować świat przed takimi gnojami, jak ty.

– Łajza!

– Mówię po raz ostatni, pakuj materiał, albo użyj tej zabawki – skierował wzrok na pistolet. – Żarty się skończyły.

Paweł uniósł pojemnik z ciekłym azotem, strącając stojące pod wyciągiem próbówki. Wykonany z grubej stali zbiornik był dobrą ochroną przed pociskiem. Napastnik opuścił rękę, zrobił półkroku do przodu i wycelował w nogi naukowca. Ale jedna z próbówek, na którą nadepnął, nagle pękła z chrzęstem i stracił na chwilę równowagę. Paweł bez wahania rzucił się w jego kierunku, wykorzystując sytuację, upuszczając przy tym na podłogę pojemnik z ciekłym azotem. Wyciekający azot zaczął tworzyć kałużę szybko parującego płynu.

Mężczyźni zaczęli walczyć. Obaj młodzi i sprawni. Trwając w silnym uścisku, przemieszczali się po całym pomieszczeniu, przewracając meble, strącając pojemniki z materiałem biologicznym z blatów, raz po raz uderzając w którąś z wyłożonych ceramicznymi płytkami ścian. Słychać było chrzęst kolejnych miażdżonych probówek. Wówczas Paweł puścił na chwilę napastnika, rozglądając się po pracowni w poszukiwaniu możliwości przeważenia szali na swoją korzyść, jakiegoś przedmiotu, którego mógłby użyć do obezwładnienia przeciwnika. W ostatniej chwili podbił rękę z wymierzonym w jego pierś pistoletem. Kula utknęła w suficie. Ponownie zwarli się w uścisku. But jednego z mężczyzn poślizgnął się na jednej z ocalałych probówek. Utrata równowagi nie byłaby groźna, gdyby nie cios wymierzony prosto w twarz. Bezwładne ciało uderzyło potylicą w róg laboratoryjnego stołu. Kręgi szyjne przemieściły się, odsłaniając rdzeń kręgowy. Wiązka nerwów została przerwana, powodując śmierć na miejscu.

Ofiara runęła na podłogę, twarzą w kałużę z ciekłego azotu, który wciąż wydobywał się z pojemnika. Długotrwałe zetknięcie skóry i tkanek z płynem o temperaturze wrzenia ponad minus sto dziewięćdziesiąt stopni Celsjusza, spowodowało ich trwałą deformację, martwicę i odmrożenie.

Przekrzywiona głowa świadczyła o poważnym urazie kręgosłupa, a puls był niewyczuwalny. Nie było wątpliwości, że mężczyzna był martwy. Mógł zachować życie, gdyby nie ten jego głupi upór.

Pozbierał ocalałe probówki i umieścił w niebieskim termosie z ciekłym azotem. Z osiemnastu, pozostało czternaście. Nie podniósł pojemnika z podłogi. Pozwolił,

aby gęsta ciecz wydobywała się na zewnątrz, zalewając twarz i klatkę piersiową denata. Musiał się śpieszyć. Z kieszeni ofiary wyjął pęk kluczy, smartfon oraz portfel. Rozejrzał się po pracowni. Pomimo ostrej walki, niewiele wskazywało na szamotaninę, która właśnie co się skończyła. Rzeczy z półek mógł postrącać broniący się przed upadkiem naukowiec. Meble pozostawały nienaruszone.

Pistolet schował do kieszeni fartucha i skierował się do śluzy. Pięciominutowa kąpiel w ultrafioletowym świetle powinna zabić wszystkie patogeny, które mogły znajdować się na fartuchu, bądź ciele człowieka. Niecierpliwił się.

Z laboratorium wyszedł ze spuszczoną głową. Nie zdjął fartucha ani okularów. Maskę stracił podczas walki.

Zabezpieczone w pojemniku z ciekłym azotem wirusy, to tylko połowa sukcesu. Proces prac z zakresu inżynierii genetycznej, warunki i opis doświadczeń, wszystko to znajdowało się w laptopie naukowca. Teraz szybko musi dostać się do jego kawalerki przy Kazimierzowskiej, gdzie znajduje się komputer z danymi.

Zdenerwowanie spowodowane nieplanowaną walką minęło. W laboratorium pozostawił trupa, ale to był przypadek. Pomyślał, że zobowiązań należy dotrzymywać. Choć każda reguła ma wyjątki, nie zawsze mogą one być uwzględnione. Wówczas należy liczyć się z konsekwencjami.

Kiedy wychodził przez uchyloną bramę na ulicę Oczuki, zauważył śpiącego w stróżówce ochroniarza. Naciskając na przycisk w kluczyku, odblokował alarm Opla Astry. Samochód przyjaźnie zamrugał światłami.

Wsiadł, uruchomił silnik i wjechał w Aleję Niepodległości, kierując się w stronę Mokotowa.

NAPAD

Kawalerka mieściła się na drugim piętrze w przedwojennej kamienicy. Klucz przekręcony dwa razy w zamku typu Gerda, pozwolił na otwarcie antywłamaniowych drzwi.

Mieszkanie było wysokie na ponad trzy metry. Na środku pokoju stał stary, dębowy stół i cztery drewniane krzesła. Pod ścianą rozkładana kanapa, mały stolik i nocna lampka. Aneks kuchenny odgradzony był od salonu wysoką ladą. Na wprost drzwi wejściowych zamontowana została stalowa futryna, na środku której przymocowany był drążek do ćwiczeń, po lewej ławka gimnastyczna, a po prawej drabinka. Oryginalnego wystroju pomieszczenia dopełniał ciężki, bokserki worek treningowy powieszony pod sufit.

Mały, lekki laptop leżał na stoliku obok kanapy. Zawierał wszystkie informacje na temat stworzonego metodami inżynierii genetycznej wirusa oraz do jego modyfikacji. Mając do dyspozycji materiał zamrożony w ciekłym azocie i dane zapisane na twardym dysku, można było pokusić się o wytworzenie doskonalszej hybrydy i w ten sposób osiągnąć cel uprzednio wyznaczony przez firmę farmaceutyczną.

Dane w komputerze były równie cenne, jak same wirusy. Hasło dla dobrego informatyka nie stanowiło dużego problemu. Po kilku godzinach, tajne dane mogą zostać ujawnione.

Mężczyzna zapakował pojemnik z hybrydami i laptopa do plecaka. Miał złe przeczucia. Intuicja podpowiadała mu, by jak najszybciej opuścić to mieszkanie. Zbierał się do wyjścia, gdy nagle na klatce

schodowej usłyszał kroki. Zamknął oczy i wstrzymał oddech. Po schodach wchodziły dwie osoby. Przez głowę przemknęła mu myśl, że ma konkurencję, ale po chwili doszedł do wniosku, że to niemożliwe. O pracach nad patogenami wiedziała tylko ograniczona liczba naukowców oraz zarząd Vaccinex. Wszystkich obowiązywała pełna konfidencjonalność. Mimo logiki, podświadomie przeczuwał, że teraz musi przygotować się na konfrontację.

Klamka poruszyła się i drzwi ustąpiły. Do środka weszło dwóch mężczyzn o charakterystycznym wyglądem. Skośne oczy i kruczoczarne włosy potwierdzały azjatyckie pochodzenie intruzów. Ostre światło latarki zatrzymało się na plecaku. Jeden z przybyłych, trzymając w dłoni paralizator, bez pośpiechu zbliżał się do nieproszonego gościa, pewien swojej przewagi.

– Oddasz nam komputer i pojemnik, a my sobie pójdziemy – wycedził łamaną polszczyzną.

– A jeśli nie oddam? – odpowiedział właściciel plecaka zaczepnie.

– Wtedy użyję tej zabawki – i wskazał na paralizator.
– Jeśli lubisz ból, to proszę bardzo, a jeśli nie, to oddaj to, o co grzecznie prosimy i sobie pójdziemy.

– Dobrze, dobrze – wydukał młody mężczyzna, udając przerażenie.

Grał na czas, oceniając swoje szanse. Nie może dopuścić do użycia paralizatora. Skośnooki uśmiechał się głupawo, wyciągając rękę po plecak.

– Wszystko jest w środku? – zapytał drugi, stojący obok drzwi.

– Kto was przysłał? – zapytał, nie kryjąc ciekawości młodzieniec.

– Ktoś, kto dobrze nam zapłaci – odpowiedział drugi mężczyzna.

– A może osobiście mu to zaniosę? – zaproponował – nieźle się natrudziłem, by to zdobyć – dodał.

– My od tego jesteśmy – wykrzywił w sztucznym uśmiechu okropną twarz bezwzględny bandyty.

– Jak oddam, to nic mi nie zrobicie? – spytał z nadzieją w głosie.

– Będzie trochę bolało – odpowiedział wymijająco.

– To ma być dostarczone... – nie dążył dokończyć.

– My od tego jesteśmy – powtórzył Azjata.

Musiał natychmiast działać. Albo ulec, oddać plecak i prawdopodobnie zginąć, bo nie pozostawia świadka, albo podjąć walkę. Poczul swoiste podniecenie, podobne do tego, które odczuwał, biorąc udział w zawodach sportowych na studiach. Biegał wówczas i pływał. Kilka dyplomów latami zalegało w szafie. Nigdy ich nie oprawił i nie powiesił na ścianie. Pewnego dnia je wyrzucił. Decyzja zapadła. Nie może im zaufać. Poziom adrenaliny w jego ciele zaczęły rosnąć...

Znieruchomiał w przygotowaniu do ataku, zmrużył oczy, po czym wystrzelił, jak z katapuły. Zacisnął dłonie na drążku do ćwiczeń i skutecznie wyprowadził cios z obu nóg. Pociągnął lekko ciało do góry. Nabrzmiałe żyły na szyi mówiły o dużym wysiłku. O skośnookim napastniku na chwilę zapomniała grawitacja. Trafiony w klatkę piersiową poderwał się do góry i przeleciał kilka metrów zatrzymując się na ścianie. Siła uderzenia była tak duża, że słysząc było chrzęst łamanych żeber. Pękły też kości czaszki u jej podstawy. Silny krwotok i

obrażenia mózgu spowodowały jego śmierć. Paralizator wyłądował na podłodze, tuż obok stalowej futryny.

Drugi z bandytów stał nieruchomo i patrzył z niedowierzaniem na to, co się stało. Po chwili oprzytomniał i przyjął postawę karateki. Jego ruchy świadczyły o dużej wprawie. Pierwszy cios przeciął powietrze, ale drugi dosięgnął celu. Ból podbrzusza automatycznie zgiął ciało młodego mężczyzny. Kolejny cios miał wyłądować na jego żuchwie, ale zdołał się zasłonić, po czym złapał napastnika za rękę i odepchnął od siebie. Próbował szybko podnieść paralizator, ale nie zdążył. Napastnik kopnął urządzenie, które wpadło pod kanapę.

Nie masz szans, zaraz skręcę ci kark – wyseplenił Azjata.

– Kto was przysłał? – zapytał po raz kolejny.

– Ktoś, kto bardzo dobrze płaci – odpowiedział wymijająco.

– Zapłacę więcej – zaproponował.

– Nie! Zabiłeś mojego brata! Nie daruję ci tego!

– Napadł na mnie – wyjaśnił.

– On chciał tylko towar i komputer, a ty go zabiłeś! – wykrzyknął.

– Pierdolisz jak kutas – zdenerwował się.

– Nie rozumiem – odpowiedział zdziwionym głosem.

– Pierdoliśśś, co to znaczy?

– Czemu tyle gadasz? – zapytał. – Walcz!

– Lubię mówić o tym, co będę z tobą robił. Czerpię radość z cudzego strachu. Będę cię zabijał bardzo powoli, żebym miał z tego więcej satysfakcji.

– Nie dasz rady dupku, nie tak szybko.

– Jestem wojownikiem i teraz nie pieniądze, a zemsta jest dla mnie ważniejsza.

– A pojemnik i komputer? Już cię nie interesuje?

– Będą moje, gdy cię będę uśmiercał, powoli...

Dla człowieka, który nie zna wschodnich sztuk walki, bezpośrednie starcie z wyćwiczonym karateką mogło skończyć się tragicznie. Azjata powoli zbliżał się do swojej ofiary, poruszając się jak kot, miękko, kiwając się na ugiętych nogach. Ale naukowiec był spokojny. Panika, która pojawiła się na chwilę, minęła. Musiał stanąć do walki, bo nie miał jak i dokąd uciec. Nie wiedział jak się bronić, ani jak atakować. Rzucił się do futryny. Jedną ręką złapał za drążek, a drugą udało mu się zablokować skierowany w podbrzusze cios. Obaj upadli na podłogę. Azjata ważył nie więcej, niż sześćdziesiąt kilogramów. Złapany za poły marynarki, spojrzał zdziwionym wzrokiem w pełne wściekłości, niebieskie oczy. Próba wyzwolenia się z silnego chwytu nie powiodła się. Odepchnięty nogami w kierunku kanapy, zaczął bezwładnie machać rękoma. Upadając, uderzył o oparcie mebla i stracił przytomność. Z jego marynarki wypadł pistolet i smartfon. Napastnik był tak pewien siebie, że nie użył broni.

Po chwili zastanowienia, broń pozostawił nietkniętą na podłodze. W kieszeni miał swój pistolet. Nagle zdał sobie sprawę, że podczas starcia, kiedy walczył o życie, zapomniał, że posiada broń.

Dokładnie obejrzał niebieski termos. Odkręcił motylek, blokujący małą pokrywkę przymocowaną do pojemnika, pod którą znajdował się nadajnik i wyjął z niego baterię.

Używając smartfonu napastnika, zadzwonił na numer alarmowy, podając adres zajścia. Nie czekał na zwrotne połączenie.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak szybko potrafi zbiec po schodach. Kiedy rzucił plecak na siedzenie pasażera, usłyszał sygnał telefonu Azjaty, a na ekranie zobaczył informację, że numer jest zastrzeżony. Odebrał połączenie, ale nie odezwał się, czekając na inicjatywę rozmówcy.

- Macie towar? - usłyszał głośny szept.

- Tak - mruknął.

- Czekam zatem.

- Nie teraz - odpowiedział powoli, cedząc każde słowo.

- Dajcie mi towar, zapłacę i sprawę zamkniemy - wyczuł problemy na linii.

- Spotkamy się, ale nie teraz. Zadzwonię i poinformuję, gdzie i kiedy.

- Ten towar jest wrażliwy, nie może się rozmrozić. To nie może czekać!

I... rozłączył się. Zorientował się, że nie rozmawia z wynajętymi bandytami. Kilka razy siarczyście przeklął.